Janina Łagoda

Wewnętrzne problemy Ukrainy rozlały się poza jej granice i stanowią lekkostrawną pożywkę dla politycznych szermierzy, zwłaszcza tych o globalnych ambicjach, a to już źle wróży. Jej narodowe dążenia wdarły się w tryby interesów mocarstw. W takich sytuacjach giną przesłanki altruizmu i objawiają się egoistyczne zamiary. Wszystko rozgrywa się pod werbalnym hasłem niesienia pomocy Ukrainie, która jest traktowana mniej jako partner, bardziej jak instrument. Naprzeciwko siebie stanęły Rosja, USA, UE, a Ukraina to zaledwie pretekst, lecz o kumulacyjnym ładunku zagrażającym stabilności Starego Kontynentu. Dlatego też aktywność wielu państw tego regionu z zamysłem łagodzenia sporu jest sprawą naturalną. Liczą się jednak najwięksi i najbardziej doświadczeni w gospodarczo – militarnych rankingach. Natomiast polityczne koncepcje Polski są gwałtownie korygowane, ostatnio także przez prezydenta Ukrainy, który wyartykułował je m.in. w Berlinie (24.08.2015 r.) w obecności kanclerz Angeli Merkel oraz prezydenta Francji François Hollanda, przy powściągliwym ich milczeniu. Może już przestaliśmy być strategicznym partnerem Ukrainy, o czym nie wiemy, tak jak do dni ostatnich Polska nie znała istoty paktu Ribbentrop-Mołotow. Dzisiaj tamtą niewiedzą epatujemy inne ofiary ówczesnej umowy. Czy to dobra strategia, aby trafić na salony wielkiej polityki?

Miejsce Rzeczpospolitej

Truizmem jest twierdzenie, że funkcjonujemy w europejskich parametrach, ale już tak oczywistą nie jest nasza skuteczność w rozwiązywaniu problemów Wschodu kontynentu. Dzień dzisiejszy zawiera oględny ładunek optymizmu.
Przystając do Unii Europejskiej (01.05.2004), podjęliśmy się ambitnego zadania budowania przyjaznych układów z państwami Europy Wschodniej. Więcej w tym enigmatycznej poetyki oraz emocjonalnego werbalizmu, niż pragmatycznych zachowań. Trudno dostrzec przyczółki integracyjnej wschodniej przeprawy. Wznieśliśmy zupełnie coś odwrotnego, przypominającego reduty. Pogodnie usposobionymi pozostaliśmy jedynie wobec Ukrainy. Uważamy się za jej orędownika w procesie unijnej i natowskiej akcesji, mimo że nasz głos w tej sprawie nieco ochrypł i na dobrych radach się kończy. Ulubionym zawołaniem rodzimych polityków są zaklęcia w stylu: aby Zachód uczynił to i tamto wobec Ukrainy, że winien być stanowczy w jej wspomaganiu, także militarnym i jednoczesnym osłabianiu Rosji etc. Zachowujemy się, jakbyśmy nie należeli do Zachodu, a tylko mu doradzali i to w bezwzględnym tonie. Pora więc na nową archimedesową heurystykę i precyzyjne definiowanie związków między faktami pojawiającymi się w międzynarodowej przestrzeni, nawet tymi nie zawsze dla nas przyjaznymi. Nie odnieśliśmy sukcesu w pomarańczowej, ani majdanowej rewolucji, ale obydwa przesilenia wywarły pejoratywny wpływ nie tylko na wewnętrzne problemy Ukrainy. Nasze państwo zostało uwikłane w niesympatyczne międzynarodowe zależności i jest spychane na peryferia przynajmniej europejskiej polityki zagranicznej. Odczucia naszych polityków są zgoła odmienne, ale to niestety zaledwie ich wyobrażenia. Także nasi europarlamentarzyści, których codziennie, aż do znudzenia jest w nadmiarze w rodzimych mediach (widocznie brukselska arena onieśmiela), nie znajdują rzeczowych propozycji, ani też nie prezentują jednolitego, korzystnego dla kraju stanowiska wobec Ukrainy i Rosji. Pasjonują ich pieniackie mityngi, czym w kraju i Brukseli niekiedy wywołują konsternacje.

Propozycje rozwiązania ukraińskiego problemu może byłyby i zrozumiałe, gdyby miały zakotwiczenie w międzynarodowych koncepcjach, ale są to jedynie retoryczne popisy intrygantów przed rodzimym elektoratem. Nic z tego nie wynika poza użyźnianiem nader już tak urodzajnego gruntu społecznych animozji. Polityczny bełkot przeraża, bo dzieli Polaków, a w odnośnikach tkwi czytelną nacjonalistyczną ukraińską zadrą. Może wreszcie nastanie czas realizmu. W tej chwili staliśmy się odporni nawet na ostentacje parlamentu i prezydenta Ukrainy wobec Polski.

Polskie dylematy

Z zamysłu efektywnego wspomagania procesu porozumienia Ukrainy z Rosją, weszliśmy w ciąg przygotowań państwa do pójścia w wyimaginowane militarne szranki. Po wizycie naszego prezydenta w Kijowie (8-9 kwietnia 2015 r.) i wygłoszonej mowie w tamtejszym parlamencie oraz zaoferowaniu pomocy, także finansowej (sic!), Ukraina nie powinna mieć złudzeń co do kursu naszej polityki zagranicznej. A jednak. Ów gest, chyba do końca nie przemyślany, został zlekceważony, albo wyrachowanie potraktowany przez ukraińskich deputowanych, którzy w niewiele godzin później podjęli decyzję o uznaniu za bojowników o wolność i niezależność Ukrainy m.in. członków Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Może zawiodły nasze służby dyplomatyczno-wywiadowcze i w porę nie ostrzegły prezydenta. Potężny to dla nas policzek, czy też kunktatorskie pojednanie pod banderowską flagą? Ten rozdział wspólnej historii nadal bulwersuje. Nie wolno go lekceważyć, lecz umiejscowić we właściwym punkcie stosunków polsko – ukraińsko - rosyjskich. Tak się dotąd nie stało. Prezydent RP i tym razem spudłował, zarówno jako polityk, ale i historyk z wykształcenia. Nie wyciągnął wniosków z kwerendy historycznych naznaczeń obydwu narodów. Uśpienie problemów, ich świadome obłaskawianie i przemilczanie, a nawet upływ czasu nie oznaczają obopólnego zrozumienia. Wołyńsko - bieszczadzka nekropolia wymaga rzetelnych studiów, a już na pewno nie wolno jej zaprzęgać do rydwanu bieżącej polityki.
Zastanawia nagły przypływ urzędowo sformalizowanej kordialności wobec Ukrainy. Raptem przeszłość wypadła za burtę. Tego nie da się porównać z żadnym innym graniczącym z nami państwem. Wystarczy zasygnalizować co niektóre, wcale nie zasadnicze, ale nadal aktualne sporne problemy i malatura naszych dobrosąsiedzkich stosunków prezentuje się jako kicz pojednania. Przykładowo z Litwinami prowadzimy m.in. prowokacyjny przetarg w obszarze stosowania języka litewskiego i polskiego, uprawiając dyplomację na poziomie podstawówki. Białorusini nie mogą nas chwalić za to, że wspieramy jedynie słuszną, według nas, organizację polskiej mniejszości, której była przewodnicząca, rodowita Białorusinka wzywała UE do wstrzymywania zewnętrznej pomocy dla własnego kraju. Ot takie samobójcze zachowanie. Drugi, liczniejszy związek Polaków sekujemy, pławiąc się w antagonizmach, ale to nasz odwieczny żywioł. Rosja, dzisiaj sąsiadująca z nami zaledwie obwodem kaliningradzkim (około 200 km), lecz przyjaźnie usposobionym we wzajemnych tubylczych relacjach, pozostaje na cenzurowanym i to do tego stopnia, że w ramach przełamywania istniejących barier rozpoczęliśmy budowę granicznego parkanu (chwilowo wznosimy wieże obserwacyjne ponoć niespotykanej generacji). Społeczeństwo nie zna rzeczowych argumentów uzasadniających tę decyzję, ale rzekomy dialog i rzeczywista reduta, to nawet dla dyletanta kontrastujące moduły. Słowacy i Czesi też nie wybaczają nam Zaolzia, którego aneksja sprzyjała przyszłemu okupantowi - ludobójcy. Temat nadal aktualny w polemikach. Niemcy wykazują wstrzemięźliwość w ocenie naszego międzynarodowego urobku. Niekiedy też pojawiają się tam

zróżnicowane głosy o ich wschodniej granicy państwowej. A tak na marginesie, to do tej pory jeszcze nie podpisaliśmy, jako członek koalicji antyhitlerowskiej, traktatu pokojowego i nadal formalnie pozostajemy z tym państwem w stanie wojny przy obowiązującym i na szczęście przestrzeganym zawieszeniu broni.
Budowaniu przyjaznych relacji z sąsiadami prawdopodobnie nie posłuży pierwsza po elekcji, zagraniczna wizyta obecnego prezydenta RP w Tallinie w 76. rocznicę podpisania wspomnianego paktu Ribbentrop – Mołotow (23.08.1939 r.). Wprawdzie Parlament Europejski ustanowił ten niechlubny historyczny moment jako Dzień Pamięci Ofiar Reżimów Totalitarnych (decyzja z dnia 23.9.2008 r.), ale czy uśmierzy międzynarodowe kontrowersje? Późniejsza wizyta w Berlinie i nieznany ewentualny termin kontaktu z Kremlem, tj. drugim sygnatariuszem tamtej tragicznej dla nas umowy, można odczytywać na różne sposoby, także jako prowokację, brak dyplomatycznych koncepcji wobec wschodniego sąsiada, eksplozji niechęci, tandetnych w formie odwetowych porachunków, nonszalancję w ocenie globalnych politycznych trendów etc. Polityka historyczna nie zawsze przekłada się na oczekiwania współczesności. Spontaniczność obrony naszych rubieży przez nas samych może być problemem, na co wskazują wyniki badań różnych sondażowi. Coraz rzadziej ekscytuje nas danina krwi na chwałę Ojczyzny.
W tych wybiórczo wzmiankowanych przykładach trudno doszukać się z naszej strony przesłanek dyplomatycznej skuteczności. Nieporadność uzupełnił kolejny fakt, kiedy to po latach akceptowania przez nas 9 maja, jako symbolu zakończenia wojny w Europie (Azja nadal krwawiła) nasz parlament podjął (24 kwietnia 2015 r.) heroiczną uchwałę i wyznaczył dzień 8 maja Narodowym Dniem Zwycięstwa, przyjmując wersję Zachodu. Dzisiaj tymi czynami chyba usiłujemy się wypisać ze zwycięskiej koalicji (prof. B. Łagowski). Tak to się rysuje. Utopia pogania nonsens, a wszystko po to, aby uszczypnąć Rosję i to w czasie najważniejszego dla jej narodu święta. Taki to nastał w naszej polityce niezdrowy mikroklimat. Wojna i pokój w tej samej chwili, to równanie z niewiadomymi, wobec którego i polska szkoła matematyczna pozostaje bezradna. Nie potrafimy uporządkować własnych słabości wobec Rosji, która jest mocarstwem, zaś nasza potęga, to enigmatyczne wybiórcze układy z Zachodem, których skuteczności już doświadczaliśmy. Tradycyjnie w ugorze pozostawiamy granicznych sąsiadów, a co najmniej dwóch z nich to możnowładcy w tym regionie. I co ważne bez ich udziału nie da się rozwikłać żadnego problemu Europy, także ukraińskiego. Ktoś kiedyś sarkastycznie stwierdził, że dla pomyślności Rzeczpospolitej wystarczyłyby tylko dwie ambasady: w Berlinie i Moskwie. Cóż za oszczędność realizmem podparta!
Aktem desperacji w aurze naszej wyjątkowości, było zorganizowanie obchodów zwycięstwa (8 maja 2015 roku) i to w niepojętym miejscu obłożonym wrześniową klęską. Miało to stanowić przeciwwagę dla moskiewskich uroczystości, a stało się lokalnym spektaklem podkręcającym kontrowersyjną spiralę międzynarodowych relacji. Uczestniczył w nich m.in. prezydent Ukrainy z rozetą o barwach zbrodniczej UPA w klapie marynarki. A dokładając do tego okupacyjne krwawe zachowania wobec Polaków ukraińskich formacji sprzymierzonych z nazizmem (np. podczas Powstania Warszawskiego) winniśmy zejść do brutalnego realizmu w ocenie tamtych dni. Czyżbyśmy do reszty zatracili instynkt samozachowawczy?
Kanclerz i minister spraw zagranicznych Niemiec, spadkobiercy przegranej ich przodków, wprawdzie nie byli obecni na Westerplatte, ani w dniu 9 maja na Placu Czerwonym w Moskwie, ale tuż po tym święcie tam gościli i oddali hołd poległym czerwonoarmistom. Uczynił to także w Berlinie prezydent tego państwa. Podobnie postąpił minister spraw zagranicznych Francji podczas pobytu na Kremlu. Dla naszej emocjonalnej i wybiórczej dyplomacji jest to za wysoko zawieszona poprzeczka. W dniu zwycięstwa nad faszyzmem wolimy atakować tych, którzy

zdobywając Reichstag (a i my tam byliśmy z naszą biało - czerwoną), położyli tamę eksterminacji, także naszego narodu. Nonsensowny to probierz kontrastów w ocenianiu żołnierskich wojennych losów.
Nie bez wpływu na taką woltę ma pisanie historii wedle sugestii prokuratorsko – badawczego Instytutu Pamięci Narodowej. Z państwa polskiego do 1989 roku uczyniono niebyt. Ale, jak się okazuje, to właśnie ta napiętnowana PRL, w swoich czynach sprzyjała – oczywiście za sprawą porozumień mocarstw wyjściem ze strefy radzieckich wpływów, a symbolicznym układnym znakiem tego był wyborczy akt (4 czerwca 1989 roku), który dzisiaj interpretowany jest rozmaicie, nawet jako moment końca II wojny światowej. Trudno polemizować z takimi absurdami.
Najczęstszymi określeniami mającymi dezawuować tamtą epokę, to poddaństwo wschodniemu sąsiadowi, układność, bezprzytomna ufność itp. Ale i dzisiaj, to najczęstsze palby wiwatujące na chwałę zaoceanicznego sprzymierzeńca. Weryfikacja tego rocznicowego kodu jest prosta, i wydaje się nam, że staliśmy się pogromcami nie tylko nazistowskich Niemiec, bo w ferworze skumulowanych ambicji pokonaliśmy, przynajmniej werbalnie, jednego z aliantów, który nas, ale i wiele innych narodów uwolnił od dalszych ofiar. Kuriozalność naszego myślenia przeraża. Krótkowzroczność, nieznajomość prawnych realiów, dyletanckie skróty historii najnowszej – np. wyzwolenie Oświęcimia przez Ukraińców etc., stały się narodową poprawną refleksją. Dominują emocje, a pragmatyzm pozostał jedynie hasłem. Nie ma więc wątpliwości, że w naszych umysłach nadal gości sentencja Jana z Czarnolasu, że Polak przed i po szkodzie głupi. Pora więc na czyny korygujące ten aforyzm.

Kręta droga stabilizacji

Intencją zabiegów wobec skonfliktowanej Ukrainy jest pokojowe rozwikłanie nieszczęścia. Takie przynajmniej płyną publiczne enuncjacje. W pewnym momencie tego zadania podjęła się Polska wspólnie z Niemcami i Francją. Rezultatem misji, poza ucieczką z kraju ówczesnego prezydenta, sygnatariusza wymuszonego porozumienia, było zaognienie sytuacji, a więc coś odwrotnego do koncyliacji. Dzisiaj, mimo że nie zasiadamy przy negocjacyjnym stole (Niemcy i Francja – tak), perspektywa ukraińskiego consensusu rysuje się klarowniej, aczkolwiek będzie to długi i wyboisty proces. Smutkiem może nas napawać również to, że kolejne miejsca rozmów wyznaczane są poza Polską: Mińsk, Berlin… Strona ukraińska, rosyjska i unijna nie protestuje wobec naszej nieobecności. Gorzej, bo jesteśmy strofowani. Daje to dużo do myślenia, ale czy potrafimy wyciągać z tego poprawne wnioski? Raczej nie, zwłaszcza w sytuacji, kiedy zagraniczną politykę państwa uprawiają dwa ośrodki decyzyjne: belwederski i ujazdowski oraz towarzyszące im plejady doradców, ekspertów, partyjnych komentatorów, publicystów etc. Wszystko to dzieje się w medialnej licytacji na przekór dyplomatycznego misterium. Trudno się dziwić, że nie łapiemy szpiegów, jeśli subtelne informacje podajemy na tacy. Ambicje przywództwa międzynarodowego mamy ogromne, ale samokrytycyzmu niewiele.
Należy jedynie domniemywać, że gdyby stosunki Polski z Rosją mieściły się w racjonalnych wymiarach, a nie w rusofobicznych opcjach, to być może i nasza pozycja w intencyjnym komunikowaniu się w sprawach Ukrainy nie byłaby negowana. Jeśli bowiem z przekonaniem twierdzimy, że za chwilę moskiewskim defiladowym krokiem zostanie przygłuszona Warszawa, to nic innego nie pozostaje, jak od Wschodu kopać transzeje i prosić Zachód o wojenne posiłki, aby chociaż o kilka dni przedłużyć heroizm. Taka to nasza dyplomacja, która staje się coraz bliższa tej nieszczęśliwej, odnotowanej w dziejowych annałach. Jeden z

geopolitycznych wariantów, z Zaleszczykami w tle, niedawno przerabialiśmy. Naśladownictwo nie jest wskazane, mimo że to II RP, tak przez niektórych uwielbiana. W naszych warunkach nie powinno chodzić o kosztowną populistyczną demonstrację wątpliwych pomysłów, ale o dyplomatyczną skuteczność, bo tylko w tym punkcie możemy zapobiec ewentualnej tragedii. Nasze militaria z reguły zawodzą. Pozostaje tylko hart ducha, który po klęsce nicujemy na wiele sposobów, starając się wytłumaczyć strategiczno - polityczny niedosyt.
W kraju wytworzyliśmy atmosferę bitewnego zagrożenia. Postulat zwiększenia wydatków na zbrojenia do 2% PKB stał się faktem. Wyprzedziliśmy w tym biegu wiele państw NATO. Zasłużyliśmy więc na pochwałę Białego Domu, bo znaczne wiano naszych finansów tam trafi. Wizyty prezydenta USA i jego zastępcy (2014 rok) nie były bynajmniej filantropijne, ale wyraziste w merkantylnym zwierciadle. Ówczesna głowa naszego państwa, ku ich zadowoleniu publicznie recytowała formułki militarnych budżetowych zapisów. Takie to już poddańcze fanaberie, ale Rosję i inne kraje sekujemy za dozbrajanie się.
Trudno nam znaleźć miejsce w szyku, a widomym efektem tego jest osłabienie naszej pozycji w regionie. Nowy prezydent chce te proporcje zmienić. Zamysł wspaniały, ale czy udzieli się innym? Bez pozytywistycznej pracy wszystkich politycznych ugrupowań jest to niemożliwe. Tworzenie polityczno – militarnego kordonu z natowsko-unijnych państw Europy dla środkowo - wschodnich pomysłów pod polską egidą jest intencją tyle szlachetną, co idealistyczną. Czy naszą dyplomację na to stać? Wspomniana wizyta w Tallinie, wprawdzie wzmacnia rusofobiczny kurs, ale podgrzewa sceptycyzm innych. Czy może to być panaceum na polsko-wschodnie problemy? Pytajników wiele, satysfakcjonujących odpowiedzi brak.
Spektakularnym politycznym drogowskazem Polski stał się bojowy zgiełk, a jego epicentrum to przetargi na zakup oręża. Sytuacja musi być nadzwyczajna, kiedy to prezydent, premier, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego (BBN) oraz minister od obrony, spotykając się (21 kwietnia 2015 r.) pod hasłem realizacji głównych programów modernizacyjnych Sił Zbrojnych RP, zachowując się być może impulsywnie, weszli w buty członków komisji przetargowej w pozaustawowej animacji, zapominając o adresach polskich firm zbrojeniowych. Umysły decydentów są drążone skłonnościami do cudzoziemskich zakupów. A szkoda, bo im więcej własnych złotówek inwestujemy w kraju tym bardziej go uatrakcyjniamy, także tym, którzy zamierzają emigrować za pracą i umysłowym rozwojem. Naszą ułomnością jest to, że najczęściej kupujemy to, co oferują nam tzw. strategiczni przyjaciele.
Dzisiaj wszystko to dzieje się w spektakularnym rozgwarze personalnego nowelizowania miejsc w parlamencie, a nie w logicznej roztropności polskiej racji stanu. Konsekwencją tego jest erupcja politycznych, ale i gospodarczych kontrowersji. Emocje i wyrachowanie polityków gubią naszą innowacyjność i osłabiają ekonomiczny prestiż państwa. Wzbogacają zaś najczęściej prywatne aspiracje. Nie wzmacnia to bezpieczeństwa suwerenności i integralności Polski.
W przypadku konfliktu i przy dotychczasowych przetargowych rozstrzygnięciach, nam pozostanie jedynie satysfakcja z jednorazowego odpalenia importowanych wojennych gadżetów. Nie wiadomo też czy strzały będą celne na miarę naszych ambicji, bo repety już nie będzie. Problemów społeczno – gospodarczych armia nie rozwiąże, bo nie takie jej powołanie, ale bez rodzimego zaplecza badawczo – konstrukcyjno - produkcyjnego niewiele zwojuje, a są to skomplikowane merkantylne rewiry. Przykładowo ostatnia chluba naszego lotnictwa samoloty F-16, to paradne maskotki, dla których kosztowny serwis i uzbrojenie pozostaje poza naszymi granicami. Nie lepiej prezentuje się potęga 11. Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej (może poza nazwą) wyposażonej w poniemieckie czołgi Leopard, o monachijskiej proweniencji,

których sprawność w dużej mierze warunkują zagraniczne dostawy części zamiennych, ale także uzbrojenia. Niezrozumiałych zakupowych decyzji bez liku, bo polityczni decydenci w owej propagandowej hucpie mają na uwadze głównie interes własny. Są też impregnowani na fakt, że jesteśmy obserwowani i oceniani nie tylko przez oficjalne dyplomatyczne, ale i te tajemne agendy.
Tak na dobrą sprawę krajowi polityczno-wojskowi stratedzy do dzisiaj nie ustalili tego, kto na nas napadnie, albo kogo my zaatakujemy. Jeśli to ma być Rosja, a w zachowaniach naszych władców tak to się prezentuje, to skuteczna obrona, mimo zakupów oręża, może mieć co najwyżej symulacyjny wymiar. Bardziej roztropna byłaby solidna inwestycja w poprawę aktywności naszej wschodniej dyplomacji. A tutaj ugór. Trafnie zauważył słynny sabaudzki kontrrewolucjonista J. de Maistre (1753-1821), że każdy naród ma taki rząd, na jaki zasłużył.
Nerwowość notujemy także w obszarze rezerw kadrowych dla armii, bo ktoś tymi bojowymi zakupami musi operować. Wprawdzie mamy dywizję generałów w paradnych rękawiczkach, ale chyba nie splamią się byciem w transzejach; na defiladach - owszem. I tutaj również brakuje konceptu. Wojenne wici trafiają do przeróżnych amatorskich formacji sympatyzujących z wojskiem, nie wyłączając myśliwych. Większość tych nacechowanych życzliwością do obrony kraju organizacji, pozostaje poza tzw. urzędową kartą mobilizacyjną, a to przecież ona winna warunkować ład w procesie uzupełniania wojennych stanów osobowych armii w sytuacji zagrożenia.
Rok 1939 nie stanowi wzorca, ale i też nie zasługuje na bezwzględne potępienie. Dzisiaj nie wiadomo, kto jest rezerwistą i gdzie ma się meldować w przypadku zarządzenia mobilizacji. Nieznane są też jego umiejętności w operowaniu wyrafinowanym sprzętem, ale także zwyczajnym kałasznikowem czy berylem. Aktualne rozwiązania wieszczą organizacyjny niedosyt i żołnierską tułaczkę, a w perspektywie konspiracyjno – partyzancką służbę.
Konsekwencją tych dzisiaj hipotetycznych zdarzeń będzie oczekiwanie na wyzwolenie nas przez innych. Późniejszy korowód wdzięczności, ale i lekceważenia i w końcu urzędowego zapomnienia możemy sobie łatwo wyobrazić, posiłkując się chociażby uprawianą polityką funeralno – pomnikową wobec tych, którzy uchronili nas przed całkowitą zagładą. Taka to już nasza tradycja.
Z Ukrainy uczyniliśmy rzekomo sprzyjające nam państwo. Natomiast faktem jest, że tymi koleinami ugruntowaliśmy antagonizmy z rosyjskim mocarstwem (ten fakt wielu polityków z trudem artykułuje). Za iskrzącą ukraińską przysłoną wymachujemy szabelką, wywołując nieprzyjemne dla nas rosyjskie reakcje i wstrzemięźliwe gesty Zachodu. Z jednej strony wygrażamy Rosji, zaś z drugiej obawiamy się jej reakcji i skrywamy się za kurtyną NATO oraz UE. Zachowujemy się jak rachityczny szkolny prymus szukający ochrony u umięśnionego kolegi z wygładzonym mózgowiem. Ale i to porównanie nie całkiem do nas przystaje.
Często zapominamy o tym, że siłę NATO i UE tworzą intencje suwerennych państw, których wola w określonym czasie i miejscu nie musi być zbieżna z naszymi oczekiwaniami. Tylko incydentalnie tak się dzieje.
Reszta to referendalne, parlamentarne i rządowe dywagacje poszczególnych państw spięte dylematem: zezwolić swoim żołnierzom na udział w wojennej batalii, czy też nie, bo natowski wojownik, to przede wszystkim obywatel określonego państwa. Przed oczyma polityków pojawia się więc kalejdoskop ewentualnych tragicznych zdarzeń, śmiercią cyfrowanych. I chociażby z tej przyczyny oczekiwanie na pomocowe wsparcie może się oddalać i obrastać interesami udziałowców. Nie jest tak, że przykładowo nasz prezydent czy wódz naczelny w czasie konfliktu (kto nim będzie, tak do końca nie wiemy), bądź minister od naszej obrony poleci

międzynarodowej tzw. szpicy, aby współuczestniczyła w obronie Polski przed zbrojną napaścią. Taki wariant może być dochowywany tylko na etapie wspólnych manewrów z teoretycznymi założeniami. W innej sytuacji, kiedy to mogą ginąć ludzie, pewność wsparcia topi się w politycznej ekwilibrystyce. Czy ta logika troszczenia się o niepodległość znalazła wyraz w strategicznych wojennych wizjach RP? Takim samym rygorom również podlegają natowskie (amerykańskie?) bazy wojenne, o których gościnę tak nachalnie zabiegamy, a o ich użyciu ważą też decyzje obcych państw, a nie właściciela gruntu ich fizycznego stacjonowania. Każda wojenna baza dysponuje też ewakuacyjnym wariantem.
Niuanse strategii państwa trudno zgłębić, bo co niewygodne jest skrywane pod suknem tajemnicy. Ustawowe regulacje o informacjach niejawnych osiągnęły u nas pułap Olimpu. Dostęp mają wybrańcy, jak ongiś do paszportów. Analogii sporo; szczęściarzy również. To też element polityki personalnej dzisiejszego państwa. Ten moduł sprawowania władzy wymaga uczciwej analizy. Jak bowiem zinterpretować to, że wybrańcy ludu (poseł, senator), aby mieć dostęp do informacji niejawnych, muszą poddawać się dodatkowej procedurze ustalania ich przydatności do wypełniania mandatu w tym niejawnym zakresie, ale równie dobrze mogą mogą być pozbawiani certyfikatu. Pozostają więc w interesownym uścisku służb specjalnych, a konkretnie dwóch: ABW i SKW, które ustawowo pełnią funkcję krajowej władzy bezpieczeństwa, mimo że Konstytucja RP takiej władzy nie przewidziała. Może te zadania wyprowadzić poza służby na modłę paszportów? Na pewno osłabiłoby to związki polityków z tajnymi formacjami, na czym ponoć wszystkim zależy.

Mgnienia przyszłości

Tkwiąc w ukraińskiej niszy należy wykrzesać z siebie maksymalnie wiele rozsądnych zachowań, aby nie uwikłać się do szczętu w problemy ukraińskiego państwa, których mentalnie kiedyś i dzisiaj nie potrafimy ogarnąć. W tej chwili świat zaczyna nas odbierać jako stronę ukraińsko – rosyjskiego konfliktu, a nie rozjemcę. Wprawdzie posiadamy teoretyczne recepty na wszelakie ułomności, lecz praktyka nas zniewala, bo uwielbiamy świat iluzji. Winniśmy więc natychmiast wypracować narodowy model trwania przy rzeczywistych, wolnych od urojeń przesłankach rodzimej mocarstwowości. Mierzmy zamiary wedle sił, trawestując słowa Wieszcza.
Deklaratywne bajania należy wzmacniać konkretami. Jeśli Rosja nie zamierza zbrojnej inwazji na państwa UE czy NATO, to trzeba zaprzestać tworzenia zgiełku wokół wyimaginowanej agresji i nie budować iluzorycznych kordonów, a zaufać tym opiniom. Takiego zdania przed laty był m.in. nasz rodak, matematyk nomen omen z lwowskiej szkoły prof. St. Ulam (1909-1984), współtwórca amerykańskiej bomby atomowej i wodorowej, który z determinacją ścisłego rozumu oświadczył już po II wojnie światowej, że Rosjanie nigdy nie zaatakują krajów Europy zachodniej. Tę samą myśl wyraził niedawno prof. A. Walicki na łamach Przeglądu (nr 18/2015). Nie zwalnia to jednak od analizowania zagrożeń dnia dzisiejszego, ale bez histerycznego tła. W tym korowodzie pomyślności i nieszczęść należy dostrzegać symptomy rzeczywistości, bo wedle różnych krajowych sondaży, niemały odsetek pozostaje obojętny wobec obrony Ojczyzny. Wielu zaś naszych polityków nawołujących do daniny krwi, zapewne wybierze dla siebie i najbliższych bezpieczną, pozafrontową flankę. Im przecież nie spieszno do okopów, bo tam kamery rzadko sięgają; częściej eksplodują granaty. Propagowane przez nich hasła poświęcenia się dla Ojczyzny stanowią raczej ofertą dla innych. Unikatowy to sposób myślenia o Rzeczpospolitej. Czy zatem zagrożenie narodowego bytu jednoczy? Odrębny to dyskurs.

* * *

Wpadliśmy w ukraińską pieczarę bez perspektyw twardego odbicia się od niezrozumiałych inklinacji. Nie wyjaśniliśmy sobie zdarzeń z przeszłości, ale raptem rządzący obydwoma państwami rzucili się w objęcia, kiedy to wiązka emitowanych spornych sygnałów jest wcale okazała. Widocznie gdzieś się zapodziały rzeczowe osądy. Trudno się temu dziwić, bo w krajowym patriotyczno – rodzimym schemacie najwyższą cenę zawsze osiągał tragizm, podlewany narodowym sosem politycznego romantyzmu, a przecież Pieśni Wolności nie można zagrać przy pomocy instrumentu przemocy (St. J. Lec).
Nasze zapętlenie wokół Ukrainy to niemal klasyczna przypadłość w uwielbianiu jednego państwa i karceniu innych. Dotąd nie zdefiniowaliśmy polskiej racji stanu w tym obszarze. Pojęcie to inkrustują wygodnymi dla siebie treściami poszczególni politycy, eksperci, żurnaliści etc., traktując ten ważny element dyplomatycznego kompasu zaledwie jako słowny wypełniacz w utopijnych dywagacjach pozbawionych merytorycznych zawartości. A to przecież zaczyn do kwalifikowanej dyskusji o polskim patriotyzmie, który nie powinien ranić ani Ukrainy, ani Rosji, jak również innych państw. Naszym znakiem rozpoznawczym winny być koncyliacyjne relacje, wykraczające poza metraż ukraińskiej koliby, a nie ryglowanie się w wyidealizowanym mesjanizmie. Czy stać na to obecnego ministra od spraw zagranicznych, politycznego partyjnego rozgrywacza rzuconego na międzynarodowy odcinek? Może też warto byłoby pokusić się o zweryfikowanie ambasadorsko-konsularnych kompetencji osób zatrudnionych w palcówkach, zwłaszcza tych na wschód od Ojczyzny? Tam trzeba autorytetów z profesjonalnym doświadczeniem i merytoryczną wiedzą o aspiracjach narodów, a ad acta odłożyć partyjno-koleżeńskie nominacje. Może nowe prezydencko – parlamentarne rozdanie położy kres nieporadnej emocjonalnej utopii. Jest tutaj również sporo miejsca dla rzeczowych inicjatyw jednoczącej się Lewicy. Tworzą ją ważne, sprawdzone w historyczno - praktycznych działaniach ugrupowania o niebagatelnych dokonaniach. Nastał czas nowy, nakazujący zbudowanie solidnej alternatywnej przestrzeni pomiędzy zwaśnionymi prawicowymi ugrupowaniami, żonglującymi także prospołecznymi projektami, bez gwarancji ich wypełnienia oczekiwanymi konkretami.
Szkoda tylko, że lewicowe formacje poszły tropem konkurencyjnych ugrupowań, jednocząc się w rozłamowym tyglu. Pozostała tylko chwila na refleksję wyzbycia się osobistych animozji albo bezsensowna klęska, wbrew oczekiwaniu potencjalnego elektoratu. Może intelektualna zawartość partyjnych busów i trafność nawigacji okaże się sukcesem. Jest to nie tylko moje osobiste życzenie.

Janina Łagoda